

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. | **Kraków, 31 lipca 1915.** | **Nr. 31.**

Szlakiem bojowym Legionów.






1) Komendant drugiego pułku, podpułkownik Żegota-Januszajtis na linii bojowej. 2) Armatka Legionów, kalibru 3·5 cm. 3) Stary wóz i wypchane manekiny, imitujące baterye na pozycyi. 4) Prowiantura pierwszej brygady Legionów.

Szlakiem bojowym Legionów.

Od kilku tygodni wojna doszła do punktu kulminacyjnego. Zażarte walki toczą się na całym terenie wschodnim, a wynik ich może zadecydować o dalszych losach wojny. W tych tytanicznych zapasach walczą i zdobywają wciąż nowe trofea sławy wojennej wszystkie pułki Legionów. Nawet czwarty pułk, o wymarszu którego na pole walki przed kilkunastu zaledwie dniami piszemy na innem miejscu, przeszedł już chrzest ognia. W tych dniach właśnie przywieziono do Krakowa pierwszych rannych „Czwartaków“...

Pomimo jednak ciężkich strat, jakie ponoszą Legiony, stan liczebny ich bynajmniej się nie zmniejszył i dziś już dwie brygady stoją w ogniu walki, zdobywając wciąż nowe pochwały i odznaczenia ze strony naczelnej komendy armii austro-węgierskiej.

Niepodobna w krótkim artykuliku wyliczać wszystkich bohaterskich czynów żołnierzy polskich. Wystarczy zaznaczyć, że niema tygodnia, aby do wieńca ich sławy nie przybywały nowe zwycięstwa, zdumiewające męstwem i brawurą...

Dziś, gdy Legiony polskie w całym swym zwiększonym składzie toczą śmiertelne zapasy z wrogiem, znacząc swój pochód zwycięstwami i, niestety, nowemi ofiarami, zamieszczamy w niniejszym numerze szereg illustracyi, przedstawiających różne oddziały tej polskiej armii na polu walki. Widzimy tam okrytych sławą „Beliniaków“, ruszających na nieprzyjaciela, głośnego komendanta II. pułku, który nową okrył się sławą w bitwie pod Konarami, podpułkownika Januszajtisa przed swem „mieszkaniem“ na pozycyi, dalej polską „baterye“ na pozycyi, czyli ową słynną 3 i pół centimetrową armatkę Legionów, która, pomimo tak małego kalibru, już ma swą obfitą w zwycięstwa historyę...

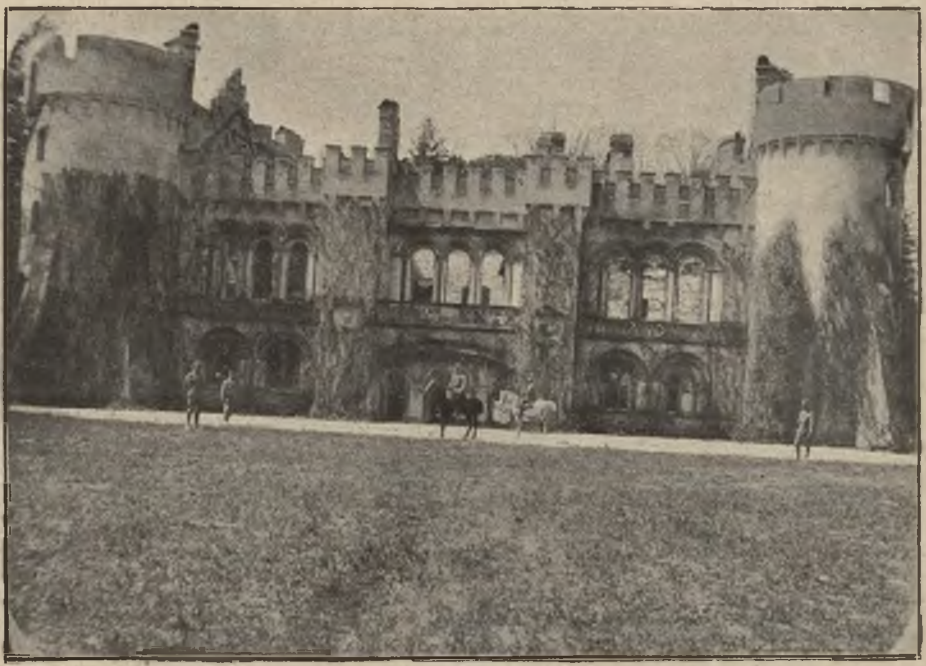
Prócz tego zamieszczamy ciekawe zdjęcie, świadczące, że Legionom są znane wszystkie arkana współczesnej sztuki militarnej, posługującej się także dobrze obmyślanymi fortelami. Na tej illustracyi widzimy armatę, a obok leżące trupy... Na szczęście nie są to zwłoki Legionistów, lecz tylko wypchane manekiny, działo zaś imituje połamany wóz. Na tę baterye, „odkrytą“ przez nieprzyjacielskiego lotnika, sypały się pociski, a zato prawdziwa baterya, ukryta dobrze przed okiem wroga, mogła z całym spokojem „pracować“...

Okazuje się, że i w obecnej wojnie, która zaprzęgła do swego rydwanu wszystkie najnowsze wynalazki, może się przydać i najzwyklejszy fortel imci pana Zagłoby.

Wogóle wojna — to szereg niespodzianek i najróżnorodniejszych sprzeczności... Jedna z naszych illustracyi przedstawia ciekawy epizod wojenny. — Wśród Legionistów widzimy tam rozradowane twarze dwóch Rosyan. Znaleźli oni rannego oficera Legionu i przynieśli go do obozu Legionistów... Naturalnie otrzymali za to nagrodę, bo... dostali się do upragnionej niewoli...



Powrót z tułaczki: Pierwsi uchodźcy wracają w okolice Przemyśla.



Z oswobodzonego kraju: Zamek w Zawadzie koło Dębicy, spalony przez Rosyan.

Powrót z tułaczki.

W historyi obecnej wojny osobną kartę stanowić będzie niewątpliwie dola polskich wygnańców wojennych. Całe połacie naszego kraju zostały bądź zniszczone w ogniu walki, bądź zajęte przez wroga. I zaczęła się prawdziwa wędrówka narodów. Lud-



Opieka nad Legionistami w Krakowie: Schronisko dla Legionistów przy ul. Karmelickiej (jadalnia). (X) Kierowniczka i opiekunka Schroniska drowa W. Barewiczowa.

ność wsi, miast i całych powiatów uchodziła w głąb monarchii, gdzie jakby z pod ziemi powyrastały polskie miasta barakowe.

Z życia tych kolonii polskich na obczyźnie dawaliśmy już liczne illustracye i opisy. Wiele tam zdziałała energia i troskliwość ludzi dobrej woli. We wszystkich prawie miejscowościach monarchii, gdzie rodacy nasi, wyrzuceni zawieruchą wojenną z miejsc rodzinnych, znaleźli chwilowy przytułek, potworzyły się komitety, które w miarę możności i środków starały się ulżyć doli uchodźców. Po upływie pewnego czasu powstały w tych koloniach polskie szkoły, szpitale, czytelnie i t. d. Słowem, wygnańcy nasi nie upadli na duchu, ale jak mogli, tak starali się możliwie najlepiej ułożyć swe życie na tułaczce, by ją przetrwać i doczekać się jasnych dni powrotu do ojczyzny, zniszczonej pożogą wojenną, ale tembardziej drogiej sercu polskiemu...

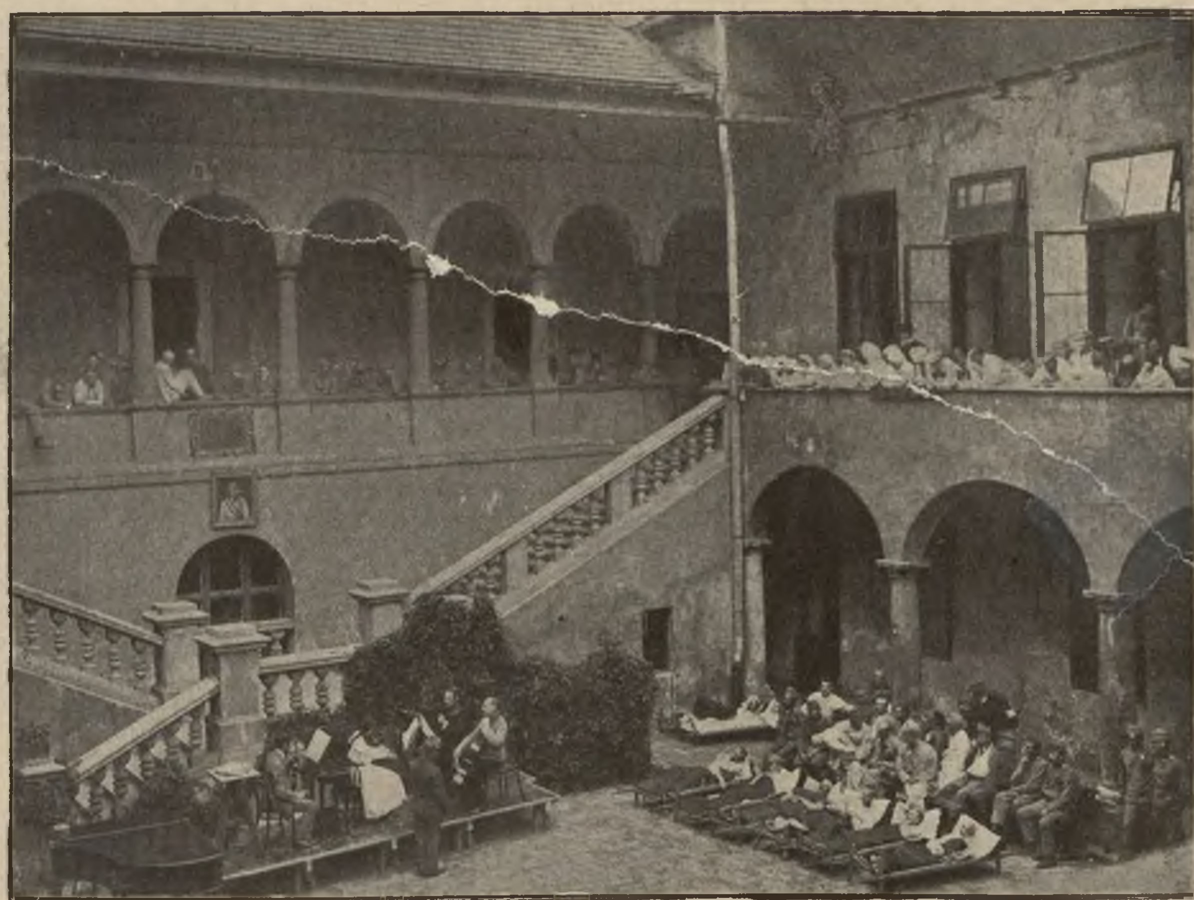
Taka chwila radosna nadeszła obecnie dla wielu rodzin uchodźców. Po wypędzeniu nieprzyjaciela z Galicyi, zaczyna wracać normalne życie, spieszą też i wygnańcy, rozrzuceni po całej monarchii, do rodzinnych wsi i miast, do własnych domów... Niejednego czeka w tej radosnej chwili powrotu smutek i żal, gdy zobaczy swój dobytek zniszczony, a dom może w gruzach. Ale to już twarda konieczność wojny. Dziś, gdy nastała możliwość powrotu do kraju — z pewnością radość ogarnia nasze rzesze tułacze, że wrócą do swoich i na swoją ziemię.

Koncert w szpitalu.

Wojna obecna, najkrwawsza niewątpliwie w dziejach świata, pochłania olbrzymie hekatomby ofiar. Ale wraz z ulepszeniem broni i sztuka lekarska poszła naprzód, wyrywając ze szponów śmierci najciężej poranione ofiary wojny. Wymaga to długiej, uciążliwej kuracyi i troskliwej opieki ze strony lekarzy, którzy często w warunkach najmniej odpowiednich muszą pracować z niezwykłem natężeniem i poświęceniem. Jak po obywatelsku pojmują swe obowiązki lekarze, świadczy niezwykle miła, a ze wszech miar pożądana innowacya, wprowadzona w IV. uniwersyteckim szpitalu fortecznym w Krakowie. Pomimo, iż wszyscy lekarze tego szpitala, wobec nawału rannych, są przeciążeni pracą, nie zapomniano tam i o kulturalnej rozrywce dla rannych, która stanowi niewątpliwie ważny czynnik w kuracyi wydanych na pastwę nudy szpitalnej pacyentów. Mianowicie urządzono tam koncert dla rannych żołnierzy. A należy tu podnieść z uznaniem, że jest to pierwsza próba tego rodzaju, wprowadzona w czyn przez komendanta szpitala, lekarza sztabowego dr. Iwanickiego, który niewątpliwie znajdzie chętnych naśladowców. Koncert bowiem wypadł pod każdym względem świetnie. Jest to zasługa organizatorów koncertu: kapelana ks. Piechnika i lekarza tegoż szpitala, dra Artura Frommera, który sam jest doskonałym wiolonczelistą amatorem.

Koncert odbył się na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej, a w ten sposób zaimprowizowana sala koncertowa przedstawiała niezwykły widok. Dookoła podsieni zasiedli w ławach i na krzesłach lżej chorzy i ranni, ciężej chorzy leżeli szeregami na noszach polowych. Komendant szpitala z gronem lekarzy zajął miejsce wśród chorych. Na krużganku, zapełnionym również chorymi, zgromadziły się w swych białych szatach pielęgniarki. Z zaimprowizowanej estrady odezwały się pierwsze akordy, które wywołały na ustach cierpiących żołnierzy uśmiech błogiego zadowolenia. Popłynęły dźwięki doskonale zgranego kwartetu, który wykonał menueta Boccheriniego i Mozarta, „Kujawiaka“ Wieniawskiego, „Andante“ Czajkowskiego, „Serenadę“ Godarta i „Kwartet cesarski“ Haydna.

Prócz dra Frommera brali udział w koncercie pp Helerówna, Goetzówna, prof. Wygrzywalski i Górka.



Koncert w szpitalu: Estrada na koncercie dla rannych IV. uniwersyteckiego szpitala fortecznego w Krakowie (na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej)



Obrazki wojenne w Krakowie: Jeńcy rosyjscy przed łaźnią w koszarach arcyksięcia Rudolfa.



Opieka nad Legionistami w Krakowie: Sypialnia w Schronisku dla Legionistów przy ul. Karmelickiej. (X) Lekarz Schroniska dr. Mieczysław Offmański.



Koncert w szpitalu: Zaimprowizowana „sala koncertowa" na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej, z rannymi IV. uniwersyteckiego szpitala fortecznego w Krakowie.

JÓZEF LASOŃ.

LWOWSKIE DZIECI.

Fragmenty z Legionu.

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Co żyło w Radomsku, wybiegło na dworzec kolejowy, aby zobaczyć świeżych rekrutów, którzy pod knutem moskiewskim przeżyli kilkumiesięczną niewolę — z chwilą zaś oswobodzenia Lwowa ruszyli z pieśnią do wojska polskiego, aby pomścić się za odniesione krzywdy.

Zajechał pociąg przed dworzec, wysypała się gromada z pociągu, na pół obdarta, w cywilnych ubraniach, z pasami, bagnetami i różnorodnymi karabinami. Broń ta, to zdobycz na Moskalach, to w ciągu inwazyi moskiewskiej we Lwowie ukradkiem schowana, aby z chwilą oswobodzenia miasta, już jako żołnierze, z karabinem w ręku, do Legionu zgłosić się mogli.

Nie byli to jednakże rekruci. Część to starych weteranów walk karpackich, jak również i I. brygady z pod Tarnowa, którzy wpadłszy w ręce nieprzyjaciół, potrafili uciec i schronić się we Lwowie, z bijącem sercem wyczekując chwili oswobodzenia i ze ściśniętą duszą zmuszeni patrzeć na znienawidzonego Moskala i jego gospodarkę w Galicyi i we Lwowie.

Pierwsza partya stu — reszta chwilowo zatrzymana w Piotrkowie.

Przyniszczone twarze, zaiskrzone oczy, w których błyszczał zapał, podwojony kilkumiesięczną niewolą, dały rękojmię, że świeży ten żołnierz nieocenionym będzie w boju, zahartowanym na trud i znój!

Ulubiona pieśń lwowska: „W dzień wrześniowy“ rozbrzmiewała po ulicach miasta, wesołe, szczęśliwe twarze tryskały życiem wśród towarzyszących im tłumów ludności Radomska.

Równiutko, w kolumnie czwórkowej, przemaszerowali przez miasto i stanęli przed biurem ewidencyjno-werbunkowym.

Po kilku wpuszczano do sali, gdzie spisywano ich po kolei.

— Nazwisko wasze, obywatelu? — pytam świeżo przybyłego.

— Ormiański!

— Swieżo zaciągły?

— Ta nie, obywatelu komendancie! Ta, ja stary żołnierz. Od września służę w II. brygadzie. Wpadłem w ręce Moskali, którym uciekłem i we Lwowie się skryłem. Ta, ja nie rekrut, ta, ja stary żołnierz! — mówił zaperzony.

— A we Lwowi my się nie bili? He! — kolega obok stojący wtrąca się. — Tak my się bili, aże strach!

— Ta, ty bądź cicho, jak cię nie pytają! — odrzekł Ormiański.

— He! Cóż tam za wojna była?

— Ta, nic obywatelu! Jak już wiadomem było, że Moskale się wynoszą ze Lwowa, a nasze patrole blizko są, tak my zaczęli polować na nich. Zebrało się nas kilku, wyciągnęliśmy karabiny ze strychu i wio na Kleparów! Pan obywatel wie gdzie nasz Kleparów we Lwowie?

— Wiem!

— Ja się tam urodziłem! He... he... he...

— Z czegóż się tak cieszycie?

— No, czemu, że ja z Kleparowa.

— I cóżeście dalej uczynili?

— Wiecie, obywatelu! Otóż Moskale ustawili przy torze kolejowym dwa karabiny maszynowe i chcieli prać do pociągu, który miał przejechać, właściwie do wojsk naszych, które tamtędy miały wkroczyć. Tak my im od miasta zaszli, niedaleko nich, cichutko, w tyralierkę się rozłożyliśmy i czekamy kiedy się zacznie strzelanina.

— A naboi dużoście mieli?

— Ta, panie obywatelu, aże strach! Wszystkie kieszenie. Taż my magazyny we Lwowie mieli!

— No i cóż dalej?

— Otóż czekamy i czekamy. Gdzieś koło północy padł jeden strzał, zaraz mu odpowiedziały rosyjskie karabiny maszynowe ustawione przy strece. Tak ja świstnął, daliśmy ognia. Moskale buch... zaczęli uciekać, a my dalej strzelać za niemi. Nadciągnęli dragoni austryaccy i wspólnie z niemi zabraliśmy kilku do niewoli i te dwa karabiny maszynowe!

— He... he!... — z niedowierzaniem mówię!

— Obywatel nie wierzy? Jak Bozię kocham! Ty, Staszek, chodźno! Ta obywatelu — zwrócił się do mnie — ta i on był i jeszcze jeden cywil, ale on już nie może być w Legionach.

— A to czemu?

— No, bo on zabity!...

Znany śpiewak Zopoth, śmiejąc się ustawicznie, spisywał przy drugim stoliku lwowskich rekrutów. Humor bajeczny mają, każdy z nich ma coś ciekawego i pociesznego do opowiedzenia.

Wreszcie ukończono spisy. Dąbrowski, urzędnik biura, odczytał im rotę ustawy żołnierskiej, której w skupieniu i uwadze się przysłuchiwali.

Komendant biura, porucznik Okołowicz, palnął ognistą, z serca płynącą, prawdziwie żołnierską mowę. Spoważniały oblicza, zaiskrzyły się oczy, mimowoli ściskały się dłonie ich, gdy posłyszeli słowa prawdy, walki na śmierć i życie z odwiecznym wrogiem Polski.

— Z trudu naszego i znoju — ciągnął sam wzruszony do głębi porucznik Okołowicz — z krwi naszej i kości, odrodzona ma powstać Ojczyzna. Pamiętajcie chłopcy moi!... Krew polska w was płynie! Legiony dały dowód, że wierne są tradycyi ojców, wy w większej części byliście już żołnierzami! Polska czeka na wasz przyszły czyn! Stańcie się godnymi następcami ojców z 63 go roku!

— Niech żyje Polska! Cześć komendantowi! — rozległy się okrzyki; czapki pod sufit wyleciały.

— Pamiętajcie...

— Jeszcze Polska nie zginęła! — zagrzmiała pieśń, zagłuszając dalszą mowę porucznika Okołowicza.

Sala trzęsła się od pieśni, z serca płynącej, wzruszenie wielkie poczęło ogarniać obecnych...

Nastąpiła przysięga.

Słowo w słowo, z powagą w głosie powtarzać zaczęli słowa przysięgi, z naciskiem, z hartem, że słów tych dotrzymają.

— Cześć wam polskim żołnierzom! — zakończył porucznik Okołowicz.

— Cześć komendantowi! Niech żyje Polska!

Ze śpiewem wymaszerowali na kwatery. Tłumy publiczności przypatrywały im się z ciekawością, rozentuzyazmowały się pod wpływem żołnierzy, którzy, przecierpiawszy kilkumiesięczną niewolę, z olbrzymim zapałem, z pieśnią radosną gotowali się do dalszej walki.

— — — — — — — — — — — — — —

— Najbliższym pociągiem pojedziecie wraz z obywatelem Zielińskim i Zopothem do Kamińska spisać pozostałych tam na kwaterach żołnierzy, przybyłych ze Lwowa.

— Według rozkazu, obywatelu poruczniku!

W południe odjechaliśmy w wyznaczonym kierunku, gdzie natychmiast po zameldowaniu się w komendzie batalionu, Zopoth i Zieliński pojechali do Rozprzy, ja zaś udałem się do wsi pod Kamińskiem, aby rozpocząć spisy.

— — — — — — — — — — — — — —

Przed domkiem, gdzie mieściła się kancelarya kompanii drugiego batalionu uzupełniającego, stał już pluton rekrutów, czekając na rozpoczęcie spisu.

Mundurki studenckie, gdzieniegdzie podarty siwy mundur legionisty przejrzał z pośród gromadki cywilów, sformowanych w pluton.

Kilku z nich, odłączywszy się od plutonu, pod murem folwarku ćwiczyło się, wzajemnie obejmując komendę.

W tej chwili komendantem był wysoki, chudy, jak tyka, młodzieniec, o czarnych włosach, iskrzącem się spojrzeniu, kocich, zwinnych ruchach ciała. Twarz figlarnym uśmiechem rozjaśniona patrzyła z ironicznem pobłażaniem na resztę kolegów, którzy pod jego komendą byli.

— Lwowiaki, baczność, defilada, pan komendant idzie! W prawo zwrot, bij w dach!

Jeden z nich zrobił w lewo zwrot, drugi zasalutował, trzymając czapkę w lewej ręce.

Plutonowy, sanitet, któremu właśnie urządzano tę defiladę, uśmiechnął się łaskawie i przeszedł obok nich kilka kroków dalej, odsalutowawszy im siarczyście.

— Ty ufermo! — zwrócił się były komendant do żołnierza, który zamiast w prawo, zrobił w lewo zwrot! Ta z ciebie nie będzie żaden żołnierz. Ta i nie wiesz, która ręka lewa, a która prawa, wstyd mi, koci synu, że ty z Kleparowa. Ha! Ty nie wiesz, która ręka prawa! A którą ręką bijesz w gębę, he?!...

— Lewą, panie komendancie! Ta ja mańkut!

— Spocznij! Jesteś usprawiedliwiony.

— A ty, mówiłem ci, ciarachu, że do pustej głowy nie przykłada się ręki. He! Jak ja krzyknął: Defilada w prawo, bij w dach! — to czemu pieronem czapkę na głowę nie wsadziłeś, tylko jak malowany stał?!

— Panie komendancie...

— Baczność! Ja wam tu dam! Karne ćwiczenie! W tył zwrot! Hybaj na mur!

Mur folwarkowy, mający blizko dwa metry wysokości, stał się terenem operacyjnym ćwiczących się Lwowiaków.

Dwu z nich jednym rzutem dostało się na mur, trzeciemu poślizgnęła się ręka, zesunął się na ziemię.

— Padnij, huncwot! — krzyknął komendant. — Ja ci dam mnie kiwać!

Żołnierz, śmiejąc się, upadł na ziemię.

— Ta nie tu, ta on w suche miejsce upadł — złościł się w dalszym ciągu komendant — powstań i padnij tu — wskazał mu ręką kałużę błotną.

— Wiara w tyraliery, hybaj na krzaki, w maliny! — zagrzmiała komenda.

Grupka zerwała się szybko, zagrzmiało:

— Hurra, hurra, hurra!

Poprzez gąszcza ciernistych krzaków malin i ostrężyn poczęli się przedzierać, twarz i ręce kalecząc, dopiero na głos plutonowego, zapowiadającego zbiórkę, powrócili zziajani, z poszarpanem ubraniem i pokrwawionemi gębami.

— Panie komendancie! Melduję posłusznie, co ja z moimi ludźmi wykonał atak na maliny i zwyciężył!

Swoboda wielka była wśród nich, jednakże podczas komendy rzeczywistej szarży wykonywali wszystko poważnie, sprytnie, jakby starzy, doświadczeni i dobrze wyćwiczeni żołnierze.

Do wieczora praca została ukończona. Natrętnie pytali się o mundury, o czas, kiedy wyruszą w pole, opowiadając przytem ciekawe rzeczy z pobytu Moskali we Lwowie.

Jeden drugiego starał się przesadzić w opowiadaniu, ubiedz, zagłuszyć, aby módz się samemu wypowiedzieć. Bardzo dużo z nich było już rannych, czy to w walkach karpackich, czy to wreszcie w samym Lwowie podczas inwazyi, jak również przy odwrocie Moskali, gdy rzucili się na ostatnie tylne straże moskiewskie, część rozbroili i wzięli do niewoli. Opowiadali, że jeden cywil prowadził cały pluton Moskali uzbrojonych, których miał sam wziąć do niewoli. Prawdopodobnie sami Moskale starali się dostać do niewoli i ów cywilny ułatwił im tylko poddanie się.

— Ta my na drugi tydzień pójdziemy do boju? — pyta na odchodnem jeden z nich.

— Macie czas, chłopcy! Wypoczniecie! Nauczycie się dobrze, to pójdziecie.

— Ta my starzy żołnierze! Już my się z Moskalami bili!

— — — — — — — — — — — — — —

Siwe, nowiutkie mundury, całkowicie już są ubrani. I mundur nowy, płaszcz siwy, grubo podszyty, buty, owijaki, szaliki, bieliznę, plecak i chlebak, wszystko nowiutkie dostali, ciesząc się niezmiernie z każdej rzeczy, którą „fasują“. Oglądają uważnie na wszystkie strony, humor tryska, tylko jeszcze na broń czekają.

— Chłopcy! Żołd dostaniecie teraz! Za dziesięć dni z góry!

— Wiwat! Niech żyje komendant! A wiele tego będzie?

— Trzy korony dwadzieścia halerzy! — dobitnie tłumaczy im sierżant stacyi transportowej.

— Wiwat! Spiewaj wiara!

„Gdy muzyka gra wesoło,
Wszystko tańczy, skacze wkoło“

— Wiwat komendant! — rozległy się głosy wraz z pieśnią po dziedzińcu magazynów wojskowych.

Następnie wydano im broń, ruszyli w kolumnie czwórkowej na stacyę kolejową, aby odjeżdżać na miejsce przeznaczenia.

Zapał bił na twarzach niedawnych jeszcze „cywilów“, z dumą patrzyli na cywilnych przechodniów, maszerując ostro, aby dać im poznać, że to już stary żołnierz kroczy.

Wsiedli do wagonów kolejowych, po chwili pociąg ruszył, pieśń wydarła się z ruszającego pociągu:

W dzień wrześniowy i ponury,
Z cytadeli idąc góry,
Szeregami lwowskie dzieci i t. d.“

rozbrzmiewała się, poczem coraz bardziej ucichać poczęła.

...Lwowskie dzieci!...

Radomsk, 19 lipca 1915.

„Czwartacy"

W tych dniach, jak doniosły pisma codzienne, czwarty pułk Legionów wyruszył na pole walki, żegnany owacyjnie przez władze i ludność Królestwa Polskiego.

Pułk ten poczęto formować już dosyć dawno, podczas odpoczynku Legionów w Kołomyi, ale dopiero na ziemi Królestwa Polskiego przyszło do faktycznej formacyi „czwartaków".

Organizacya postępowała wśród wsi polskich i zieleniejących pól i lasów. Kadry rosły z dnia na dzień, a wieść o wskrzeszeniu czwartego pułku tylko wzniecała wszędzie objaw radości i żywszych uczuć. Wyrazem tego była wielka uroczystość wojskowa na cześć powstającego czwartego pułku w siedzibie komendy. Uroczystość zaszczycił swą obecnością cały sztab Legionów z ekscellencyą Durskim na czele i całym korpusem oficerskim polskich Legionów.

Uroczystość przy obecności miejscowego ziemiaństwa przeciągnęła się długo, urozmaicona muzyką czwartego pułku. Zyczliwość ludności stawała się coraz to wyraźniejsza, a objawiała się wielu dowodami, między innemi licznemi odwiedzinami okolicznej inteligencyi. W ten sposób przyjmowano pen-



Szlakiem bojowym Legionów: Oddział ułanów Beliny.



„Czwartacy": Komendant czwartego pułku Legionów, podpułkownik Roja.



„Czwartacy": Orkiestra czwartego pułku Legionów.





Szlakiem bojowym Legionów: „Beliniacy" na nieprzyjaciela.



Po inwazyi Rosyan: Kościół w Wojniczu.



„Czwartacy“: Pensya pani Domańskiej z Piotrkowa na wycieczce przed kwaterą czwartego pułku Legionów.

syę p. Domańskiej z Piotrkowa, a u uroczych panienek na odgłos odegranego przez muzykę czwartaków wieńca pieśni polskich, śpiewanych przez nie zapewne w ukryciu, drgnęły serduszka i łezki u oczek zawisły.

Komendantem pułku jest znany z bojów karpackich podpułkownik Bolesław Roja, lubiany przez żołnierzy, ceniony w kołach wojskowych.

Dziś czwarty pułk Legionów jest już na linii bojowej, gdzie podtrzyma niewątpliwie tradycyę naszych „Czwartaków“.

Polski skaut w Pradze.

Dnia 3 lipca b. r. sekcya lwowska polskich drużyn skautowych, założona przy Komitecie wychodźców galicyjskich w Pradze, a zainaugurowana przez prezesa drużyn lwowskich profesora medycyny dra Panka, obchodziła swój dzień inauguracyjny.

Od kilku tygodni już ćwiczyły zastępy skautów i skautek pod kierunkiem ukwalifikowanych drużynowych p. Z. Remera i p. Speidlówny, aby z chwilą rozpoczęcia się feryi szkolnych zainaugurować otwarcie skautu polskiego, któryby skupił młodzież obojga płci, nie mogącą jeszcze wracać do domów.

Uroczystość rozpoczęła się mszą św. w bursie polskiej. Nabożeństwo odprawił katecheta gimnazyalny ksiądz Knopp, jeden z kierowników skautu polskiego w Galicyi, który wygłosił piękne okolicznościowe kazanie. Dla wykonania samego programu



Po inwazyi Rosyan: Dom w Wojniczu, przedziurawiony granatem.

zgromadził się skaut o godzinie jedenastej w swoim lokalu na Smichowie. Do zebranych skautów i obecnej publiczności przemówił wiceprezes Komitetu wychodźców galicyjskich dr. Slączka. Zaznaczył on konieczność podniesienia przemysłu w kraju naszym, do zrealizowania czego jest przeznaczoną nasza młodzież. Praca więc przy warsztacie skautowym da nam ludzi pojętnych i zdolnych do tej pracy narodowo-ekonomicznej.

Następnie zabrał głos z ramienia komendy skautowej dr. M. Orłowicz i podziękowawszy drowi Slączce, jak również i całemu komitetowi za materyalne zaopiekowanie się skautem, omawiał program pracy dalszej skautu polskiego na obczyźnie.

W dalszym ciągu programu po stosownej komendzie skautka Dembowska odmówiła modlitwę skautów, poczem nastąpiły ćwiczenia skautów i skautek, zabawy i śpiewy drużyn.

Na zakończenie uroczystego poranku druh Jan Wismüller podziękował drużynowym i skautom za pomoc, jaką mu przy założeniu skautu polskiego w Pradze czeskiej udzielili, jako też za dobre wykonanie ćwiczeń i punktualne przybywanie na zbiórki, zawiadamiając jednocześnie, że komendantem założonego skautu został dr. Mieczysław Orłowicz, sam jednak wskutek powołania do służby do Lwowa żegna drużyny w tej nadziei, że reszta młodzieży polskiej stanie w ich szeregach.

Kurs dla rannych analfabetów.

Gdy na kresach państwa toczą się walki i wojna zbiera swoje krwawe żniwo, wewnątrz monarchii życie kształtuje się zupełnie normalnie. Nie spoczywają nawet muzy — wbrew rzymskiej maksymie „Inter arma silent musae“. Wielu rannych oficerów



Polski skaut w Pradze: Drużyny skautowe i ich twórcy na uroczystości inauguracyjnej: 1) drużynowy Remer, 2) założyciel Wismüller, 3) prezes komitetu dr. Slączka, 4) komendant dr. Orłowicz, 5) drużynowa Speidlówna.

i żołnierzy, w czasie przymusowego wypoczynku oddaje się z zamiłowaniem sztukom i literaturze... Nie brak też żołnierzy, którzy dopiero teraz, po powrocie z pola walki, próbują przechodzić pierwsze progi nauki, ucząc się czytać i pisać, choć niejeden



Kurs dla rannych analfabetów: Uczniowie i kierownicy kursu w Ischlu. Od lewej ku prawej siedzą: nauczyciel Suchodolski, ks. Kokta, ks San Marco, hr. Crenneville z Zychy, hr. Kielmansegg, nadp. Reischl, ks. Jan Głąb.

dźwiga już czterdziestkę na sobie. Dla tych żądnych nauki analfabetów, pochodzących przeważnie z Galicyi, Węgier, Bośni i krajów alpejskich, urządzono pod kierownictwem ks. Jana Głąba w Ischlu kurs analfabecki, w którym wzięły udział jako protektorki lub nauczycielki: księżna San Marco, hr. Kielmansegg, hr. Crenneville z Zychy, ks. Kokta (Czech) oraz p. Suchodolski, nauczyciel dla Polaków i Rusinów, którzy zgłosili się najliczniej. Po dwudziestu



Po inwazyi Rosyan: Część zburzonego kościoła w Wojniczu

dniach nauki uczniowie wykazali na popisie zadziwiające postępy.

Wobec tak wielkiej stosunkowo liczby analfabetów, pochodzących z Galicyi, nasuwają się tu pewne refleksye na temat naszego szkolnictwa ludowego. Daty statystyczne analfabetów żołnierzy w szpitalach Austryi Górnej wykazują, że najwięcej nieumiejących czytać i pisać pochodzi z Galicyi i to wschodniej, potem z Bukowiny, Siedmiogrodu, Bośni i Hercogowiny, a potem z Węgier, z krajów alpejskich, najmniej zaś z Czech. Fakt ten świadczy, że mimo wysiłków czynników miarodajnych w kierunku oświatowym, najmniejszy udział w szkolnictwie ludowem bierze Galicya i to wschodnia jej część. Ten smutny obraz naszej oświaty ludowej widzimy najlepiej na obczyźnie, w porównaniu z innemi narodowościami. Niech stanie się on też dla nas poważnem „memento", a dla analfabetów zachętą do pracy nad sobą nawet w poważnym wieku.

Opieka nad polskimi uchodźcami na Węgrzech.

Jak wiele można zrobić pracą wytrwałą i poświęceniem przy najszczuplejszych nawet środkach, wymownym dowodem jest działalność Centralnego komitetu dla wychodźców galicyjskich na Węgrzech, który otaczał swą opieką rodaków, rozrzuconych od granic Siedmiogrodu po brzegi Litawy, od Karpat aż po Fiume nad Adryatykiem. Należy tu przedewszystkiem podnieść zasługi zarządu Centranego komitetu, w skład którego wchodzą: prezes i organizator prof. Zygmunt Turecki, zastępca jego ksiądz Józaf Marcinkiewicz, p. Horoszczukowa, skarbniczka, p. Kowalski, kontrolor, dalej pp. Konnerowa i Gackówna, sekretarki. To szczupłe grono ludzi dobrej woli potrafiło bez żadnej pomocy z zewnątrz skupić nietylko w Körmendzie mieszkających Polaków w liczbie ponad sto rodzin, nietylko w bliższej okolicy Körmendu (jak w Stremie, Nemett Ujwarze Szambatheli i t. d.), ale agendy swoje rozprzestrzeniło aż do najdalszych komitatów, tak, że dziś obejmuje swą działalnością i otacza opieką przeszło trzy tysiące uchodźców. Trudno tu rozpisywać się szczegółowo nad tem, co zarząd komitetu w przeciągu tych kilku miesięcy dla wychodźców uczynił, należy jednak choć ogólnikowo zaznaczyć, że nie było dziedziny, którejby niezmordowany w poświęceniu dla uchodźców zarząd nie podjął. Między innemi utrzymywał w Körmend szkołę polską, którą zorganizował prezes prof. Turecki.

Ksiądz Józef Marcinkiewicz, zastępca prezesa, nietylko był katechetą szkoły w Körmend i duszpasterzem Polonii w tem mieście, ale w sąsiednich i dalszych miastach i miasteczkach odbywał reko-



Po inwazyi Rosyan: Podziurawione mury zniszczonego kościoła w Wojniczu.

lekcye i kazania, a jako delegat komitetu jeździł w różnych sprawach, dotyczących naszych uchodźców.

Ponieważ rząd węgierski chciał wychodźców wydalić, komitet stanął w ich obronie i deputacyami u rządu w Budapeszcie i u władz komitatowych doprowadził do tego, że w kwietniu b. r. wyszło rozporządzenie, aby tylko „szkodliwi" (handlem się trudniący) wychodźcy i ci, którzy nie mają środków utrzymania opuścili Węgry, innym zaś pozwolono zostać. W ten sposób zarząd uratował inteligent-



Opieka nad polskimi uchodźcami na Węgrzech: Zarząd Centralnego komitetu dla uchodźców: (od lewej ku prawej) skarbniczka Horoszczukowa, ks Józef Marcinkiewicz, prezes prof Z. Turecki, kontrolor Kowalski, sekretarki Konnerowa i Gackówna.

niejsze sfery naszego wychodźtwa od poniewierki i kosztów na dalszą włóczęgę.

Jeśli się zważy, że wśród uchodźców polskich na Węgrzech większość stanowiły kobiety, obarczone często drobnemi dziećmi, a utrzymujące się z fun-



Po inwazyi Rosyan: Zniszczone urządzenie browaru w Wojniczu.

duszów nadsyłanych, które często w tych czasach zawodziły, można sobie wyobrazić, jak szerokie pole działania miał zarząd, przychodzący w tych razach nie tylko radą, ale i doraźną pomocą. Niezamożnym przytem uchodźcom opłacano mieszkania, zapewniano pomoc lekarską, dawano fundusze na podróż i t. p.

Wobec szczupłych funduszów, jakiemi rozporządzał zarząd komitetu, jest to wielka zasługa i do-



Po inwazyi Rosyan: Zburzony dom w Wojniczu.

wód niezwykłej zapobiegliwości jego członków, a w szczególności prezesa prof. Tureckiego. Nic dziwnego więc, że dziś, gdy już znaczna część wychodźców wraca do kraju (i tu zarząd komitetu postarał



Szlakiem bojowym Legionów: Żołnierze rosyjscy, którzy przynieśli rannego oficera Leg. do obozu Legionistów.

się o bezpłatną podróż), dano wyraz uznaniu dla owocnej i ofiarnej pracy zarządu i jego prezesa na pożegnalnem zebraniu w Körmend, odbytem przy licznym udziale uchodźców miejscowych i zamiejscowych, którzy z niekłamanym entuzyazmem dziękowali swym opiekunom za tak wydatną pomoc w ciężkich chwilach tułaczki.

Poczta na zajętym terenie.

W miarę posuwania się sprzymierzonych sił na zajętym terenie Królestwa Polskiego, urządza się też najpierw etapowe urzędy pocztowe, przeznaczone w pierwszym rzędzie dla użytku wojskowości, częściowo dostępne także i dla cywilnej publiczności, o ile na to pozwalają miejscowe stosunki i postęp operacyi wojennych. Ogłoszona niedawno statystyka ruchu w etapowych i polowych urzędach pocztowych wykazała nadzwyczajną sprawność tych instytucyi, które zasłużyły sobie przez to na pełne słowa uznania.

Ponieważ zajęty teren Królestwa Polskiego podzielonym jest na dwie strefy, jedną poddaną pod administracyę władz austryackich, drugą niemieckich, wprowadzono też odpowiednio do tego i dwa zarządy pocztowe, pozostające ze sobą jednakowoż w ścisłym związku.

Austryackie urzędy pocztowo-telegraficzne w Królestwie Polskiem obsadzone są przeważnie urzędnikami z Galicyi, jako władającymi językiem polskim, pozostają zaś pod kontrolą władz wojskowych, w których szeregach spotyka się również bardzo wiele jednostek, należących do polskiej narodowości.

Na ogół funkcyonują urzędy pocztowe doskonale, choć mają do zwalczenia bardzo wiele trudności i przeszkód, z jakiemi w pokojowym czasie nie ma się nigdy do czynienia.

Zarząd pocztowy austryacki, pragnąc przygotować i na przyszłość odpowiednio ukwalifikowane siły, któreby mogły prowadzić c. k. Urzędy pocztowe, urządził w tym celu przy c. i k. Urzędzie pocztowym etapowym w Noworadomsku pierwszy kurs pocztowy, pozostający pod kierownictwem naczelnika tamtejszego urzędu, oficyała Piotra Bilochy. Naukę prowadził c. i k. asystent poczty polowej, M. Ader. W kursie wzięli udział kierownicy i kie-



Po inwazyi Rosyan: Zburzony dom w Wojniczu.

rowniczki Urzędów pocztowych w Rudnikach, Nowej Brzeźnicy, Kłomnicach i Pajęczynie. Ukończenie kursu z dobrym postępem uprawnia uczestników do objęcia kierownictwa Urzędów pocztowych dla lu-



Po inwazyi Rosyan: Ogólny widok zniszczonego przez Rosyan browaru.



Z ostatnich walk w Galicyi: Baterya dział austryackich na pozycyi.



Poczta na zajętym terenie: Pierwszy kurs dla kierowników urzędów pocztowych dla ludności cywilnej na ziemiach Królestwa Polskiego, urządzony w c. i k. etapowym urzędzie pocztowym w Noworadomsku.



Zwalczanie chorób zakaźnych w armii austryackiej: Rekonwalescenci pawilonu cholerycznego w Nowym Targu ze swoim lekarzem drem Pawlasem i kapelanem księdzem Tietzem.

dności cywilnej na ziemiach okupowanych przez Austro-Węgry.

Kurs powyższy odbył się w drugiej połowie czerwca b. r.

Ponadto podajemy odbitkę grupy personalu poczty etapowej w Noworadomsku.

Zwalczanie chorób zakaźnych w armii austryackiej.

Ustawicznie słyszymy o szerzeniu się chorób zakaźnych wśród Rosyan. Cholera, dysenterya, tyfus brzuszny i plamisty dziesiątkują i tak już zdemoralizowane wojska rosyjskie. U nas jest zupełnie inaczej. Nadzwyczaj sprężysta służba sanitarna potrafi tłumić w zarodku te straszne choroby, nie pozwalając im przybrać większych rozmiarów.

Słyszy się wprawdzie tu i ówdzie o sporadycznych wypadkach tych chorób, szczególnie wśród jeńców rosyjskich, jednak do większych epidemii nie przychodzi. Chorych się zaraz izoluje, umieszcza w osobnych pawilonach, a wszystko, co miało styczność z chorymi, zostaje spalone lub poddane skrupulatnej i ścisłej dezynfekcyi.



Po inwazyi Rosyan: Uszkodzony granatem dom w Wojniczu.

I w Nowym Targu, który jest jednym z etapów transportu jeńców rosyjskich, też wybuchły epidemie cholery i tyfusu, jednak nie wydostały się poza mury szpitali wojskowych. Zasługa w tym względzie przypada przedewszystkiem naczelnemu lekarzowi pułkowemu drowi Kostce i lekarzom epidemicznym drom Pawlasowi i Horakowi, którzy nie szczędzili pracy i poświęcenia, by zlokalizować te straszne choroby.



Poczta na zajętym terenie: Personal c. i k. etapowego Urzędu pocztowego w Noworadomsku.



Zwalczanie chorób zakaźnych w armii austryackiej: Rekonwalescenci pawilonu tyfusowego w Nowym Targu ze swym lekarzem, drem Horakiem. (Fot. W. Chmura)

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

5

Baronowi de Bressien, bardzo świeżemu milionerowi, który doszedł do poważnego stanowiska w świecie finansów, zależało teraz ponad wszystko wkręcić się w świat wyższy i wpływowemi i arystokratycznemi znajomościami kazać zapomnieć otoczeniu o zanadto świeżym tytule swoim i majątku.

Znaczenie i stanowisko kupuje się drogo, a markiz de Kermor, jeden z najpierwszych arystokratów Francyi, był na drodze sprzedania tej cennej rzeczy, tak brakującej finansiście. Wciągnienie więc markiza w swoje przedsiębiorstwo było dla bankiera wspaniałą przynętą, rzuconą w ten świat utytułowany, który ignorował go dotąd. Należało tylko teraz zręcznie przyspieszać jego ruinę, podczas gdy Sydonia ze swej strony prowadziła grę artystyczną wobec markizy, której lekceważyć nie było można.

Jednego dnia, czując już pewny teren pod nogami, Bressien przystąpił odważnie do ataku.

— Ach, markizie — rzekł do Kremora — spotkawszy go na wyścigach w Auteuil — Gdyby pan wiedział, jak się czuję nieszczęśliwym.

— Nie wzruszaj się zbytecznie, baronie, na taki upał — zaśmiał się złośliwie markiz, lubiący żartować ze swojego bankiera.

— Panie markizie, zechciej mnie wysłuchać, chodzi o rzecz bardzo dla mnie poważną.

— Jeżeli o uregulowanie jakich rachunków, to zwróć się, mój przyjacielu, do pana Delrue. Nie zajmuję się sprawami tego rodzaju.

— Markizie, to chodzi o moją córkę.

— Oh! przepraszam! Zaniedbałem zapytać się o nią! Czyżby ta miła osoba czuła się niezdrową?

— Tak i nie. Powiem panu szczerze, jak ojciec ojcu, który rozumie.

— Tylko przez litość nie tutaj, baronie. Zatrzymaj pan swoje ojcowskie serce w stosownem miejscu, obok portfelu, bo mógłby je kto ukraść.

— Jesteś pan bez litości dla mojego biednego dziecka.

— Dźwigającego kilkadziesiąt milionów na swojej kształtnej główce. No, zresztą mów, bankierze, o złotem sercu.

I Bressien zaczął opowiadać, jak Sydonia wyręczyła go wobec markizy w przeprowadzaniu przykrych finansowych kwestyi, zmusiła go do wyrzeczenia się procentów, a uczyniła to wszystko, powodowana najwyższą czcią dla markizy i... silnem uczuciem dla hrabiego Henryka, którego pomimo wszelkich rozumowań przezwyciężyć nie mogła.

— Jednem słowem — kończył bankier — córka moja jest najnieszczęśliwszą istotą pod słońcem. Moje jedyne dziecko cierpi w sposób nie dający się opisać i czuję, że ją wkrótce stracę. Wczoraj uwiadomiła mnie o stanowczym zamiarze wstąpienia do klasztoru, a ja...

— Ho! ho! aż tak — wyrzekł markiz powoli — Nie sądzę jednak, żeby rzecz była tak poważna, jak ją pan przedstawiasz. Może to tylko nieszkodliwa miłostka młodej dziewczyny. A czy nie wiadomo panu, czy syn mój podziela to uczucie?

— Nie! Skoro Sydonia cierpi tak niewymownie.

— A markiza cóż na to?

— Obchodzi się z dzieckiem mojem, jakby to była już jej własna córka...

— Kto wie, może to się da jakoś ułożyć — wycedził po chwili zastanowienia markiz — Ale mówmy otwarcie. Ten posag stumilionowy to nie bajka?

— Nie, tylko hrabia Henryk dostałby w danym razie połowę.

— Dlaczego?

— Bo jestem pana przyjacielem, bo druga połowa do pana należeć może. Chcę panu markizowi zwrócić wszystkie sprzedane i zastawione dobra, majątek Kermorów. Będzie to druga część posagu mojej córki.

— Naprawdę, Bressien, jesteś nieocenionym człowiekiem — odparł markiz — Bądź spokojny, pomyślę o tem.

— — — — — — — — — — — — —

Hrabia Henryk de Kermor, głównie interesowany w tej sprawie, bawił podówczas w południowej Afryce i, narażając się dla zdobycia majątku na rozliczne niebezpieczeństwa po dżunglach, pustyniach i lasach dziewiczych, nie przypuszczał ani na chwilę, że tam w Paryżu postanowiono już o jego losie.

Tymczasem de Bressien niecierpliwił się coraz więcej. Coś psuć się zaczynało w jego sławnych kopalniach złota. Akcye jego spadały, a rywalizacye innych banków dokuczały mu coraz dotkliwiej. Przytem bankier rujnował się w świecie, gdzie zamiast pożyczonych kapitałów otrzymywał pańskie obietnice, poparte łaskawem podaniem ręki. Małżeństwo Sydonii z hrabią de Kermor stawało się już koniecznością, nową reklamą i przynętą. A należało się spieszyć, póki wierzono jeszcze w okrzyczane sto milionów posagu.

Wtedy to de Bressien przez Andrzeja Delrue zawezwał młodego hrabiego do powrotu.

Dalszy ciąg dramatu.

Andrzej Delrue, przyniósłszy nieprzytomnego przyjaciela do pałacu, zawezwał natychmiast domowego lekarza i sławnego chirurga. Chociaż przeniesienie rannego z powozu do pokoju odbyło się dyskretnie i cicho, jednakże markiza, którą niezwykły szmer zbudził z pierwszego snu, zaniepokojona, przeczuwając coś złego, wbiegła do pokoju syna.

— Panie Delrue! Co się stało! Błagam pana, opowiedz mi całą prawdę.

Na widok nieprzytomnego Henryka zbladła silnie i rzuciła się ku łóżku.

Delrue z trudem odciągnął ją, pocieszając, że to tylko lekkie omdlenie spowodowane wzruszeniem i w krótkich słowach opowiedział całe zajście, opuszczając naturalnie to, co było najważniejsze dla niego, że bronioną przez młodego hrabiego dziewczyną była Janina le Brenn.

— Gdzie się to działo? — zapytała markiza.

— Za kasarniami Chateau d'Eau.

— A więc w dzielnicy Temple?

— Tak, pani markizo.

— To szczególne! Bardzo szczególne! Muszę to wyjaśnić — szepnęła cicho markiza.

Jeżeli markiza de Kermor uda się do dzielnicy Temple i odnajdzie swoją małą protegowaną, to dowie się od niej, że ona to była ofiarą tej nocnej napaści. Wtedy cały plan jego ulegnie zniszczeniu.

W tej chwili służba wprowadziła zawezwanych lekarzy, którzy przystąpili do opatrzenia rannego. Rana na szczęście nie okazała się zbyt niebezpieczną. Chirurg był tylko zaniepokojony objawami gorączki, wzmagającymi się z każdą chwilą.

— Nie mogę tego zrozumieć — rzekł do swojego kolegi. — Rana tak świeża nie wywołuje nigdy tak silnej gorączki, może syn pani markizy czuł się już niezdrów, wychodząc z domu? — zapytał zwracając się do pani de Kermor.

— Nie sądzę!... Chociaż... syn mój powraca właśnie z południowej Afryki, gdzie klimat jest bardzo niezdrowy, przytem miał w ostatnich czasach przykre przejścia...

— Otóż to właśnie — potwierdził lekarz — bo widzę, że stan nie jest normalny. Gorączka jest niezależna od otrzymanej rany. Musimy zapobiedz, aby się nie wzmogła.

Po odejściu lekarzy markiza de Kermor pozostała sama w pokoju syna; przedtem jeszcze uprosiła Andrzeja Delrue, aby udał się na spoczynek.

Ranny nie odzyskał przytomności, chwilami przebudzał się i rozgorączkowanemi oczyma patrzał wokoło, nie wiedząc widocznie, gdzie się znajduje. Markiza zmuszała go wówczas do wypicia lekarstwa uspakajającego i pytała, pochylając się nad nim, z niepokojem:

— Henryku! dziecko drogie! Czy cierpisz bardzo! To ja! Twoja matka! Odpowiedz mi!

Chory nie odpowiadał, tylko wstrząsał się nerwowo, a oczy jego zachodziły łzami.

— Co ci zrobili, dziecko moje, powiedz? Nietylko rana ci dolega, nieprawdaż? Cierpisz, a nie chcesz się zwierzyć matce swojej?

Markiza wybiegła z pokoju, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem. Gdy powróciła Henryk leżał z twarzą ukrytą w rękach i łkał cicho. Ale na naglące zapytania matki nie chciał dać żadnej odpowiedzi. Markiza usiadła przy łóżku i zapadła w ciężkie zamyślenie. Usiłowała odgadnąć tajemnicę, dręczącą jej syna.

Nagłe oświadczenie się jego o rękę panny Sydonii, w sam dzień powrotu do Paryża, wydało jej się nienaturalnem. Czyżby kochał ją jeszcze przed wyjazdem i zataił przed nią tę miłość?

Markiza pogodziła się już z myślą nazwania córki bankiera synową, chociaż nie była to żona, o jakiej marzyła dla jedynaka. Pogodziła się jedynie dlatego, iż dotąd przypuszczała, że Henryk ją kocha! Ale teraz pewne wątpliwości zajaśniały w jej stroskanym umyśle. Co znaczyć mogły łzy i podniecenie Henryka i to uporczywe milczenie, do którego z jego strony nigdy nie była przyzwyczajoną? Może Henryk poświęcał się, aby tem małżeństwem uratować ruinę rodzinną; może uległ naleganiom markiza i wiązał się z Sydonią, kochając inną kobietę?

Markiza myślała długo, wytężając umysł, aby uchwycić choć błysk jeden prawdy, mogący jej rozjaśnić sytuacyę właściwą.

I nagle myśl jedna, przypuszczenie wstrząsnęło nią gwałtownie! Przypomniała sobie, że zmiana, jaką zauważyła w Henryku, trwa od dnia jego zaręczyn. On, dawniej tak kochający i szczery wobec matki, unikał rozmowy z nią, jakby lękał się zapytań, na które nie chciał czy nie mógł znaleźć odpowiedzi, pogrążając się w milczeniu zimnem i obojętnem.

Dopiero wiadomość o nagłem zniknięciu Janki wyrwała go z tego stanu. Zapytał matkę o adres jej mieszkania i jak szalony pobiegł jej szukać. Powrócił zgnębiony, z wiadomością, że Janka przeprowadziła się i dnie następne w większej części spędzał poza domem, okazując silne zdenerwowanie.

I teraz markiza, odnawiając w sobie te wspomnienia, zapytywała siebie, czy główną przyczyną troski i choroby jej syna nie była mała jej pupilka i czy również nieszczęśliwa miłość nie zmusiła tej ostatniej do tajemniczego opuszczenia domu, w którym prawie uważano ją za członka rodziny. Czując, że nie może zostać jego żoną, oddaliła się dobrowolnie, nie chcąc zdradzić ukrytej w sercu tajemnicy. Spostrzeżenie, że Henryk otrzymał był ranę właśnie w dzielnicy Temple, zamieszkanej przez młodą robotnicę, utwierdziło jeszcze silniej markizę w jej domysłach.

Henryk poruszył się na łóżku niespokojnie, rozpalona twarz jego przybrała wyraz rozpaczy i bólu; nagle wyprostował się i zawołał groźnie:

— Baronie de Bressien! Strzeż się! Chciałeś doprowadzić mojego ojca do samobójstwa! Ale ja tu jeszcze jestem! Ojcze! przysięgam ci, że się ożenię z córką bankiera! Mamo! prawda, że ona jest piękna i dobra, ta milionowa panna!...

Markiza zbladła z przerażenia. Teraz wiedziała już wszystko! Jej syn ukochany miał paść ofiarą lekkomyślności ojca i podstępu nikczemnego człowieka.

Podbiegła do Henryka, objęła go ramieniem, nie wiedząc co czynić, co powiedzieć, aby go uspokoić. I nagle zdobyła się na słowa, które jedynie intuicya i serce matki podszeptać mogło:

— Henryku! moje dziecko drogie! Uspokój się! Ja nigdy nie pozwolę na ten związek, odszukamy Jankę i niech się dzieje co chce, abyś ty tylko był szczęśliwym!

Nazajutrz.

Baron de Bressien obudził się dnia tego w bardzo złym humorze, jak gdyby przeczuwając, że spotka go coś nieprzyjemnego.

Pierwszą jego czynnością, jak to czynił codziennie, było baczne obejrzenie misternego zamku kasy ogniotrwałej, stojącej w pokoju. Zauważył, że kasa była otwierana. Ktoś tu był! Ale kto?

Jedynie córka jego posiadała sekret tajemnych znaków i klucz. Otworzył kasę i z niepokojem zauważył brak kwitu Andrzeja Delrue.

Natychmiast zatelefonował do apartamentów córki.

— Uspokój się, ojcze! — brzmiała odpowiedź — Idę do ciebie!

Za chwilę Sydonia wbiegła do gabinetu ojca wesoła i swobodna.

— A co? Przestraszyłeś się, ojcze? To ja jestem winowajcą, który dobrał się do twojej skrytki.

— W jakim celu? Czego szukałaś?

— Poco pytasz, skoro wiesz.

— Wzięłaś kwit Andrzeja Delrue?

— Tak jest.

— W jakim celu?

— Aby go przypiąć do czeku na pół miliona franków, który dasz mi zaraz, ojcze drogi!...

— Co? Nigdy w życiu!

— W takim razie zmusisz mnie do fałszerstwa. Zrobię tak, jak Delrue!

— Ależ zastanów się! Taka suma! Może powiesz mi przynajmniej, do czego ci ma służyć!?

— Do dodania odwagi Andrzejowi Delrue, który bardzo jej potrzebuje.

— Do dodania mu odwagi? Do czego? Mówże wyraźnie!

— Jesteś bardzo ciekawy! To jest konieczne do upewnienia mojego małżeństwa!

— Twoje małżeństwo jest rzeczą pewną!

— Nie tak bardzo, jak ci się zdaje! Jest przeszkoda!

— Ważna?

— Bardzo, skoro potrzebuję do usunięcia jej pół miliona franków.

— Cóż to jest? Rywalka może?

— Rywalka!

— Droga w każdym razie! Galopujesz się, a pamiętaj, że gra może być niebezpieczna! Delrue jest ostrożny! Odfotografuj przynajmniej ten kwit i podpis.

— Już zrobione, mój ojcze!

— Oh! widzę, że z ciebie mądra główka! Ale zawsze, pół miliona franków! Sądzisz więc, żeby się hrabia z tą twoją „przeszkodą" ożenił? Któż to jest?

— Młoda robotnica, wychowanka markizy.

— Ah! ta mała! Do dyabła! ładny buziak! Zazdrość popycha cię do rozrzutności. Możeby się to dało inaczej załatwić!?

— Ojcze! Niema o czem mówić! Sprawa jest ważna! To, co Delrue musi zrobić, warte jest tych pieniędzy. To cena krwi, zbrodni.

— Ho! ho! To słowa, moje dziecko! Czcze słowa! Niema zbrodni, gdzie jest słuszność! Gdzie wchodzi w grę wielka kombinacya do przeprowadzenia! Zapamiętaj to sobie! Poszanowanie cudzego życia, to blaga! To nie istnieje. Na całym świecie ludzie codziennie się mordują, wydzierają z rąk egzystencyę. Kto silniejszy, ten wygrywa. Gdybyś nie była silną, zniszczyliby cię. Ale zawsze pół miliona franków. To trochę za wiele!

— Trudno! Już się stało! Byłam wściekła! Bo teraz i ja także chcę, słyszysz, chcę! On musi do mnie należeć! — zawołała Sydonia z mocą, patrząc na ojca rozgorzałemi oczami.

— No dobrze, dobrze, córeczko — rzekł po chwili zastanowienia bankier, który chciał koniecznie dwa powodujące nim uczucia, miłość dla córki i pieniędzy, pogodzić z sobą w sposób ekonomiczny. — Będziesz mogła oddać kwit temu panu, a my zachowamy odbitkę. Będę go miał dalej w ręce. A markiz de Kermor zapłaci. He! co ty na to?

W tej chwili zapukano dyskretnie do drzwi gabinetu.

— Proszę wejść! — zawołał de Bressien.

Do pokoju wszedł woźny z nizkim ukłonem.

— Pan Delrue pragnie koniecznie mówić z panem baronem. Przysłany jest od markiza de Kermor.

— Prosić!

Andrzej Delrue wszedł niezwłocznie i zmarszczył się z niezadowoleniem, widząc tu pannę Sydonię, z którą pragnął pomówić na osobności.

— Dzień dobry, panie Delrue — odezwała się bankierówna — Nie przeszkadzam ci, ojcze?

— Bynajmniej, moje dziecko. Ten kochany markiz przysyła pana do mnie? — zwrócił się do sekretarza.

— Aby uwiadomić pana o wypadku, jaki spotkał młodego hrabiego. Nic groźnego. Ale, gdyby pan baron lub pani pragnęli jakich wiadomości, to służę.

— Może pan mówić otwarcie, wyznałam wszystko ojcu — rzekła panna Sydonia, zbliżając się z ciekawością do młodego człowieka — No, mów pan! Przychodzisz z oznajmieniem, że przeszkoda już usunięta i żądasz nagrody, czy tak?

— Nie pani, jeszcze nie! — wymówił Delrue z zakłopotaniem.

Bankier, nie zdający się interesować rozmową córki z sekretarzem, uśmiechnął się z politowaniem.

— Ah! — szepnęła Sydonia niezadowolona — Jeszcze nie! Co się więc stało? Co opóźniło wykonanie?

— Właśnie wypadek hrabiego Henryka.

— Jaką mieć może łączność wypadek ten z wiadomą sprawą?

— Wielką, bo to jedno i to samo. Jak pani wiadomo, panna Janina le Brenn zniknęła z pałacu, a hrabia...

— Cóż hrabia?

— Hrabia, w którym umiałem wzbudzić podejrzenie i nieufność w cnoty tej panienki, chcąc się ostatecznie przekonać, zaczął jej szukać i nie znalazł.

— Co dalej, panie Delrue, co dalej — przerwał bankier — to są słowa, a córka moja czeka na fakt.

— Ale wczoraj — kończył spiesznie zmieszany Delrue — panna Janina, którą kazałem śledzić od chwili zniknięcia jej z pałacu, wracała późno z roboty w dzielnicy Temple i tam napadło ją trzech rzezimieszków. Wszystko byłoby wzięło obrót pożądany, gdyby na nieszczęście nie zjawił się był hrabia Henryk i nie rozgromił napastników.

— To wprost nieprawdopodobne! — zawołała Sydonia, mieniąc się ze wściekłości — Skad się wziął hrabia w nocy w tej dzielnicy?

— Szukał panny Janiny le Brenn — odpowiedział już pewnym głosem Delrue, wiedząc, że tym argumentem poprawi sytuacyę swoją.

— A więc ta dziewczyna wie, że wybawcą jej był hrabia?

— Nie, proszę pani! Do tego nie dopuściłem! Wybawcą jestem ja!

Sydonia zamyśliła się.

— To trudno — odezwała się wkońcu — Trzeba robotę rozpocząć na nowo.

— To już jest zrobione, proszę pani — odpowiedział tryumfująco Delrue.

Bankier ciekawie spojrzał na niego i wypuścił z rąk czytany dziennik.

— Jestem zmuszony mówić otwarcie — mówił dalej Delrue — chociaż może będę bezwzględnym dla pani, panno Sydonio! Rzecz jest jasna, że hrabia Henryk walczy między obietnicą, daną ojcu w chwili porywu szlachetności, a miłością swoją nierozumną i głęboką dla tej Janiny le Brenn. Otóż lękam się, znając romantyczną i gwałtowną naturę Henryka, że miłość przeważy. On szuka tylko sposobu, aby zerwać małżeństwo z panią. Jeżeli ta mała zniknie, umrze, pozostanie w nim wspomnienie otoczone urokiem, niebezpieczne również dla nas, a kto wie, może Henryk nawet nie przeżyje tej straty. W każdym razie będzie dla pani straconym.

— Więc co robić? Jaka jest myśl pana? — zapytała Sydonia, nie spuszczając z oka swojego wspólnika.

— Myśl moja jest taka. Trzeba wyrwać z serca i umysłu Henryka tę miłość nierozważną, trzeba go przekonać, że ta dziewczyna nie dba o niego, że pod pozorem słodyczy i niewinności kryje się zepsuta i wyrachowana dusza, słowem, trzeba zohydzić mu ten ideał, w który wierzy jeszcze.

— Usiłowałeś to pan już uczynić? — zauważyła Sydonia.

— Tak, ale tylko słowami. Teraz należy faktami przekonać Henryka, a wtedy stanie się mu ta dziewczyna obca i daleka, bo duma Kermorów nie pozwoli mu interesować się istotą upadłą i nikczemną. Kiedy wiara w jego ideał zgaśnie, zgaśnie i jego miłość. Znalazłem już sposób...

— Bardzo ładnie — przerwał bankier — ale ani słowa więcej. Sposób nas nic nie obchodzi, tylko skutek, a za ten skutek pan odpowiadasz, nieprawdaż? Idźże więc i działaj zręcznie i szybko!

Śmierć Kudłacza.

Delrue wyszedł uspokojony z kancelaryi bankiera. Nowy jego zamiar nie został odrzucony. To, co chciał uczynić, to nie był przecież zamach zbrodniczy, który wcześniej czy później mógł go zaprowadzić do więzienia. Dostanie tak gorąco oczekiwane pół miliona franków, nie narażając własnej głowy, tylko przedtem należało ubiedz markizę, która napewno zajmie się poszukiwaniem zaginionej dziewczyny. Wyczuł to dzisiejszej nocy, w tych kilku słowach; wymówionych nieostrożnie.

Musiał także upewnić się, czy Barykada nie zechce się pomścić i nie zażąda odszkodowania za rozwiązaną umowę.

Popatrzył na zegarek.

— Mam czas, za dwie godziny załatwię się z tem.

Skinął na przejeżdżającą dorożkę i kazał się wieźć do pana Colin-Megret.

Tym razem stary lichwiarz przyjął swego ekssekretarza w grzeczny i uprzejmy sposób, wiedział bowiem, że tenże umiał się już stać potrzebnym bankierowi de Bressien.

— Ah! Drogi panie Delrue! — zawołał — Jakto ładnie z pańskiej strony, że przyszedłeś mnie odwiedzić! Sądziłem, że gniewasz się na mnie!

— Ależ przeciwnie! Uczyniłeś mi pan wiele dobrego, zapoznając przymusowo z baronem. Nie zapomnę panu tego nigdy! A teraz chce się pan dowiedzieć, dlaczego przyszedłem? Jestem zakochany i potrzebuję pańskiej doświadczonej rady.

— Oh! Oh! Żarty, kochany panie Delrue!

— Nie, nie żarty! Kocham się w młodej, ładnej dziewczynie i chcę ją ukryć przed niebezpiecznym rywalem.

— Panie Delrue, oto rada, graj pan w otwarte karty!

— Dobrze! A więc potrzebuję pomocy czcigodnej pani Collin-Megret.

— Nie znam takiej.

— Ofiaruję pięć tysięcy franków.

— To dla pani Wiktoryi może?

— Tak, dla niej.

— I drugie pięć dla mnie, o ile ta rada więcej nie warta.

— Wydusisz życie ze mnie, Collin-Megret.

— A de Bressien ci je przywróci.

— Mylisz się, on mi tylko wróci to, co wiesz, jeżeli sprawa się uda!

— W takim razie uda się. Chodźmy, Delrue, przedstawię cię pani Wiktoryi.

— — — — — — — — — — — — — — —

W pół godziny później Collin-Megret z zadowoloną miną odprowadzał Andrzeja Delrue do oczekującej na niego dorożki.

— Przejedziesz dzielnicę Temple — objaśniał Delrue stangreta — aż do ulicy St. Maur, potem skręcisz na lewo.

— Zrozumiane, obywatelu!

Na ulicy St. Maur Delrue wysiadł i wszedł do szynku, nad którym wisiał czerwony szyld z szumnym napisem „Życie paryskie".

— Butelkę wina i dwie szklanki — rozkazał Delrue, siadając przy stoliku, przy którym siedział jakiś człowiek w bluzie.

— A, to pan! — rzekł tenże, odrywając oczy od czytanego dziennika.

— Tak, to ja, ze zleceniem od tej młodej dziewczyny, aby nie zdradzać nikomu adresu jej nowego mieszkania.

— A! Od tej, którą przeprowadzałem kiedyś... Już wiem. Sama mnie o to prosiła.

— A ja popieram tę prośbę — odpowiedział Delrue, wsuwając siłą w rękę posługacza złotą monetę — Bo widzicie, przyjacielu, biega za nią syn jej byłej chlebodawczyni i naturalnie w złych zamiarach.

— Widziałem go przedwczoraj. Wypytywał mnie i moich kolegów także. Ale nie pisnąłem ani słowa.

Delrue nalał pełną szklankę wina i postawił przed nim.

— Uważajcie, żeby was matka tego elegancika nie podeszła.

— Oh! Nikt ze mną nie poradzi, jak się zatnę. Pan się może chce żenić z tą panienką! Bardzo dobra myśl i uczciwa.

— Tak, zgadliście i choć nie jestem bogaty, jak tamten, potrafię was wynagrodzić — mówiąc to Delrue pożegnał posłańca i wskoczył do dorożki.

— Teraz podjedziesz do rogu ulicy i zatrzymasz się, a potem odwieziesz mnie na ulicę Beotic. Dostaniesz dobry napiwek.

— Niech tylko pan długo tu nie bawi — zauważył dorożkarz — Ta dzielnica nie bardzo mi się podoba. Nie często tu widują porządnych ludzi.

Delrue szedł wązką uliczką do hotelu Ambasadorów. Chociaż niegdyś przebywał w tych stronach dość często, jednak nie mógł oprzeć się odruchowi obrzydzenia, jaki nim wstrząsnął, gdy znalazł się w brudnym zaułku, zabudowanym jedynie nizkimi, obdrapanymi domami, zamieszkałymi przez najuboższą i najnędzniejszą ludność miasta. Z za okien wyglądały blade, cyniczne twarze, noszące na sobie niezatarte piętno rozpusty, zbrodni i chciwości.

I nagle Andrzeja objęło szalone przerażenie na myśl, że będzie może kiedyś zmuszony powrócić do tego piekła nędzy i niedostatku, żyć z tymi ludźmi, od których stronił obecnie, a do których zbliżał się jedynie, zmuszony potrzebą. Jeszcze trochę cierpliwości i odwagi! Zdobyte złoto wynagrodzi go za te lata przeżyte w ciągłej obawie o jutro. Wtedy opuści Francyę i w innym kraju żyć zacznie jako wolny i niezależny człowiek.

Otrząsnął się Delrue przemocą od tych myśli i wszedł do hotelu Ambasadorów.

W brudnej, cuchnącej sieni siedział rozwalony na krześle człowiek o zapitej, prawie zidyociałej twarzy.

— Dzień dobry, ojcze Karolu!

— Oh! To pan, panie Andrzeju!

— Co tam nowego?

— Była u nas dziś w nocy brzydka awantura — odpowiedział szeptem właściciel mordowni — Pan wie o tem?

— Nie, skoro się pytam.

— Blagujesz pan! To twoja sprawa! „Zamówienie z ostatnich dni". Dlaczego się kryć przede mną! Nie należę przecież do policyi.

— Gadaj nareszcie, co się stało?

— To się stało, mój mały, że Kudłacz jest paskudnie „ruszony". Zawezwaliśmy doktora. Idź pan do niego. Znasz drogę, a zresztą to twój kompan.

— Zwykła znajomość, ojcze Karolu, zawarta, kiedy się jeszcze było biedakiem.

Delrue wcale nie miał ochoty odwiedzić Kudłacza, ale hotelarz już powstał i idąc ku schodom, zawołał tubalnym głosem:

— Hej! Numer trzynasty! Odwiedziny kompana!

Andrzej nie mógł się już cofnąć i rad nie rad, wspiął się po brudnych schodach na piętro.

Drzwi od numeru trzynastego były otwarte.

Delrue stanął na progu, przejęty wstrętem. Na łóżku nierozebranem leżał Kudłacz z rozpiętą na piersiach koszulą. Głowa jego do połowy ginęła pod zakrwawionymi bandażami, twarz napuchnięta, sina, z ust wybiegało głuche rzężenie. Delrue odwrócił oczy i wzrok jego padł na małego, chuderlawego ulicznika Tota, o bladej, wyzywającej twarzy klowna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwsze dwie głoski każdego wyrazu, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiej powieściopisarki.

□ □ — — — —
□ □ — — — —
□ □ — — — —
□ □ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Jarzyna. 2 Imię żeńskie. 3 Strona świata. 4 Pojazd.

Szarada.

Ułożył H. Osuchowski z Kamienia

Szósta-pierwsza wspak, to morskie kąpiele,
Snadnie mogą uleczyć na duszy i ciele,
Trzecia z czwartą miasteczko, leży w Palestynie
I żaden go z pewnością pielgrzym nie ominie.
Greckie imię mężczyzny tworzy *szósta z drugą*,
Zajrzysz do słownika, odnajdziesz niedługo;
To, co *szósta* oznacza, z *piątą* połączona,
Spaja ludy i państwa we wspólne ramiona.
Szósta z siódmą pospołu, dziś w ręku tureckiem,
W starożytności była krajem czysto greckim.
Całość, nasze marzenie, gorące pragnienie,
Daj Bóg jej najrychlejsze i pełne ziszczenie.

Zadanie królewskie.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów

	cie	to	siać	
	bie	jest	na	
wie	chwy	ko	ska	wiatı
tać	rzyć	nią	dło	le
	mor	o	fa	
	skie	le	rıć	

Logogryf.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Srodkowy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego artysty dramatycznego Legionisty.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Utwór poetyczny. 3 Miasto na Litwie. 4 Autor „Szkoły". 5. Osoba duchowna. 6 Szukany wyraz 7. Polski kompozytor. 8. Kwiaty polne 9. Drzewo owocowe. 10 Wykrzyknik. 11. Spółgłoska.

Równanie.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu imię, a w drugiem nazwisko wybitnego współczesnego polskiego literata.

$$\frac{a}{2} + \frac{b}{4} + \frac{c}{3} = x.$$

$$\frac{d}{2} + \frac{e}{4} + \frac{f}{3} = y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Gra w karty. b) Znany muzyk polski. c) Imię męskie. e) Współczesny satyryk polski. f) Powieściopisarz polski.

Łamigłówka.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą pseudonim znakomitego polskiego powieściopisarza.

a e
l s
I o
E – a
r k
o a

Przysłowiówka.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Deszcz leje w M, a dr. Wit Lew je macę.

Kwadrat magiczny.

Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Z podanych liter utworzyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a m n
n o o p
r r r t

Znaczenie wyrazów: 1. Ciężar opakowania. 2. Żydowskie imię męskie 3 Kopalina. 4. Prowincya francuska.

Zadanie konikowe.

Ułożył X. Y.. Oświęcim.

ży	niech	ka	kół	ca
co	jem	a	każ	że
ży	zło	a	łość	ku
swo	ni	ma	duch	dy
się	Bo	w	czy	sa

Szarada.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Uwaga! *Pierwsza-druga* — jednakie brzmienia,
Druga-trzecia, to część naszego ramienia,
A *całość*, jeśli odgadł należycie,
Głowy kozackiej zwykłe nakrycie.

Łamigłówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną literę i ułożyć z nich imię i nazwisko polskiego pisarza:

Sen, ten, pan, lin, Inn, San, łan, rak, Iwo, kos, rok, Zan, Bem, cal, huk, ton, war, ser, rak, lis.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Ks. T. Kruszyńskiego:* **Stary Gdańsk i historya jego sztuki.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 29.

Zadanie do przestawienia: Jeszcze się ten nie narodził, ktoby każdemu dogodził

J a c e k M a l c z e w s k i
A d a m M i c k i e w i c z
C e n t r a l i z a c y a
E k s c e l l e n c y a
K r o p i e l n i c a
M o r s k i e O k o
A n a l i t y k a
L e w k o n i a
C z a h a r y
Z o d y a k
E d y k t
W o l t
S ę p
K u
I

Równanie: Rogala + niemoc + markiza = **Romocki.**
Halka + makao + Protezy = **Hakata.**

Łamigłówka:

K a n t
O c e t
Z y s k
M ę t y
A t o m
S e r b

Przysłowiówka: Pozory mylą.

Zadanie konikowe: Od głowy ryba cuchnie

Okienko:

J a k ó b
a o a
k o n a k
ó a o
b a k o n

Zadanie do przestawienia: Grabie chłopu, nie gitarę.

Bilety wizytowe: Honwed. Hospitant. Odźwierny. Oficer sztabowy. Gradonaczalnik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka. M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, S. Górski Nowy Jiczyn, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, R Królicki Kr ścienko n. D.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Świrski, Zakopane.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Opuściły prasę drukarską następujące, bardzo na czasie, publikacye:

1) **Polen und Juden.** Ein Appell von Herman Feldstein mit einem Vorwort von Hofrat Josef Sare. Verlag des Obersten Polnischen Nationalkomitees. Druck von Carl Herrmann. Wien IX, Alserstrasse 50.

Broszura niniejsza stanowić ma odpowiedź różnym nieprzyjaciołom naszej narodowości, jak Brandes, Luzatti i inni, którzy obwiniają Polaków o wrogie odnoszenie się do Żydów i urządzanie pogromów.

2) **Die polnische Frage.** Von Dr. Moritz Ritter v. Straszewski, öff. ord. Professor an den Jagiellonischen Universität in Krakau Wien 1915. Verlag des Obersten Polnischen Nationalkomitees Generalvertrieb H. Goldschmiedt G. m. b. H Wien I. Wollzeile 11, 80 Seiten! Preis K 1·50. oder Mk 1·20.

Autor, na podstawie badań historycznych i rozważając obecną sytuacyę polityczną, zastanawia się nad tem, co się może stać z ziemiami polskiemi, należącemi dotąd do zaboru rosyjskiego. Przypuszcza trzy ewentualności: nowy podział Polski. utworzenie osobnego państwa i połączenie odebranych Rosyi terytoryów z Galicyą w jedną całość. Odrzucając dwa pierwsze, oświadcza się Autor za trzecią.

3) **Polenlieder deutscher Dichter.** Lemberg. Bernard Połoniecki Den tapferen Befreiern Lembergs zur Erinnerung an den 22 Juni 1915.

Zbiór utworów niemieckich poetów, odnoszących się do powstania w r. 1831, dziś przeważnie już zapomnianych. Wydano je, jak czytamy w przedmowie, celem upamiętnienia chwili, gdy sprzymierzone armie oswobodziły Lwów od najazdu wroga. Druk rozpoczęto natychmiast po wyjeździe rosyjskiego cenzora. Broszurkę przeznaczono jako podarunek pamiątkowy dla austryackich i niemieckich oficerów i żołnierzy. reszta nakładu rozsprzedaną będzie na dochód Towarzystwa Czerwonego Krzyża.

4) **Na oswobodzenie Lwowa** (22 czerwca 1915 r.), wiersz napisany przez Mieczysława Opałka w Oświęcimiu. Z drukarni A. Grossa, Oświęcim

Głosy publiczne.

Biuro wywiadowcze dla katolickich wychodźców wojennych z Galicyi pod protektoratem J. O. Księcia Biskupa Sapiehy Wiedeń, II, Kleine Stadtgutgasse 12 (naprzeciw bramy dworca kolei północnej), otwarte bez przerwy dniem i nocą, udziela w sprawach wychodźczych bezinteresownie wszelkich wyjaśnień i porady. Delegaci biura, do których można się zgłosić z pełnem zaufaniem, urzędują — zaopatrzeni na prawem ramieniu przepaską szarą z literami C. K. O. M. na poszczególnych dworcach.

Centralny Komitet opieki dla wychodźców z Galicyi, Wiedeń, I., Steindelgasse 6.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego